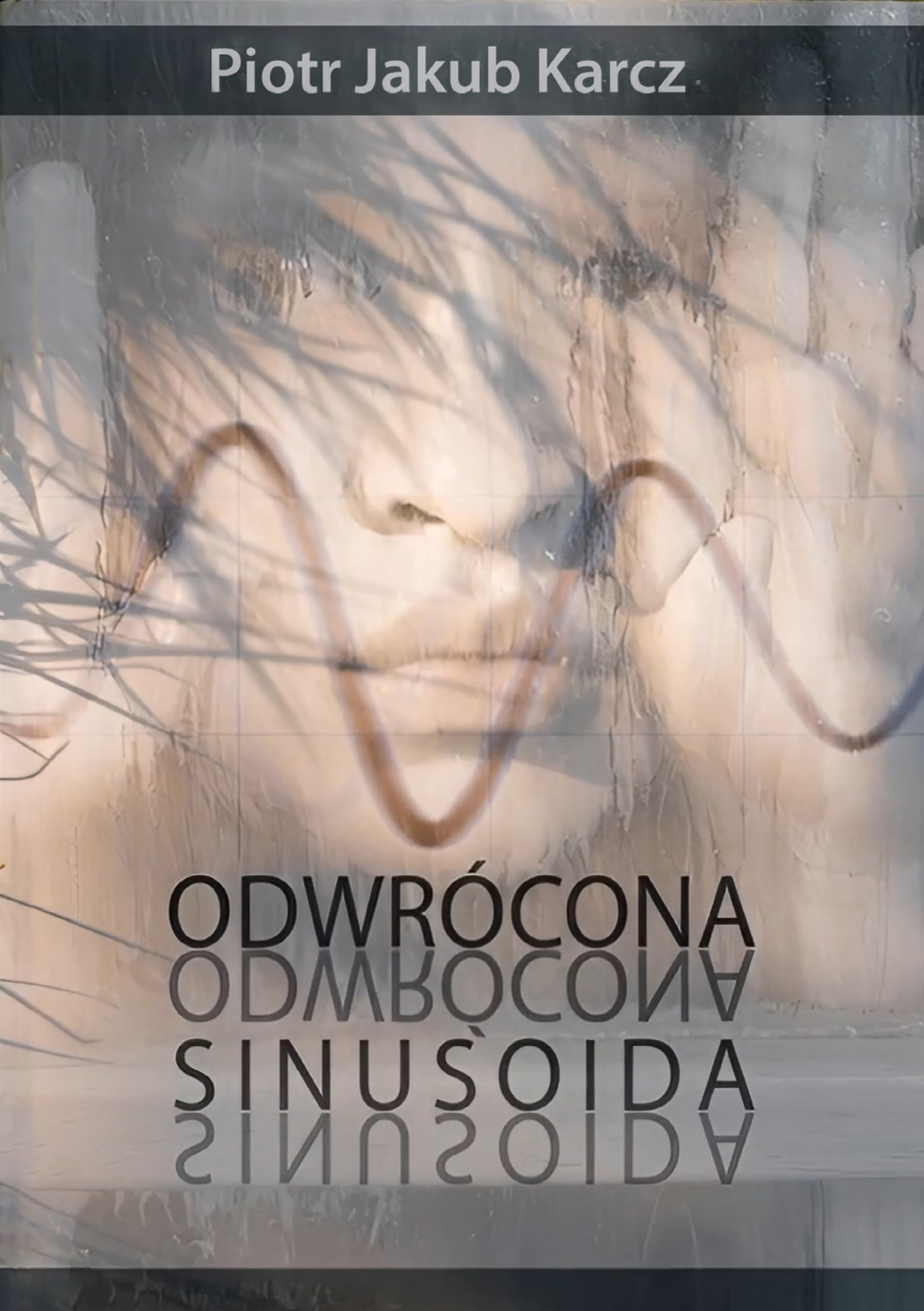
Piotr Jakub Karcz



ODWRÓCONA SINUSOIDA

Piotr Jakub Karcz

O D W R Ó C O N A S I N U S O I D A

© Copyright by Piotr Jakub Karcz & e-bookowo

Korekta: Marta Bluszcz

Skład: Katarzyna Krzan

Projekt okładki: Piotr Jakub Karcz

ISBN e-book: 978-83-8166-504-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Ten e-book jest zgodny z wymogami
Europejskiego Aktu o Dostępności (EAA).

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.
Wydanie II rozszerzone 2026

Mojej żonie Agacie…

Zalążek opowiedzianej tutaj historii zrodził się w mojej głowie w roku akademickim 2002/2003, gdy jako student Erasmusa przechadzałem się tymi samymi uliczkami Clermont-Ferrand co Damien czy Pierre.

Dziękuję rodzinie i przyjaciołom za wsparcie i cierpliwość.

Chciałbym również podziękować Mirosławowi Zelentowi, posiadającemu niezwykły dar tłumaczenia skomplikowanych zagadnień matematycznych na język zwykłych ludzi, za zgodę na wykorzystanie fragmentu pracy na temat liczb pierwszych.

KSIĘGA PIERWSZA

Z Ł O T A
S I N U S O I D A

Prolog
Narodziny odwróconej sinusoidy

Lyon, 16 października 2000 r.

Noc nad Lyonem była cicha i przejrzysta. Wysokie biurowce La Part-Dieu wznosiły się niczym szklane menhiry, odbijając mleczne światło księżyca. Na ich powierzchni przesuwały się refleksy nielicznych samochodów – powolne, hipnotyczne jak puls metropolii, która nigdy nie zasypia do końca.

W jednym z biurowców na trzynastym piętrze paliło się światło. Aurélien Marsat stał przy panoramicznym oknie, obracając w palcach długopis. Od dawna już nie pił, nie jadł i nie spał. Myślał.

Każda chmura, którą widział nad miastem, zdawała się równaniem – nieskończonym, żywym wzorem opisującym świat. W głowie słyszał liczby tak wyraźnie, jak inni słyszą muzykę.

W jego pracowni panowała sterylność godna laboratorium. Żadnych zdjęć, żadnych ozdób. Porządek był formą kontroli, a kontrola – jedynym sposobem, by nie zwariować. Biurko – niemal puste. Tylko monitor, notatnik i stary kalkulator Hewlett-Packard, który pamiętał jeszcze czasy jego studiów. Na półkach równo ustawione książki, posortowane nie tylko według tematu, lecz i odcienia grzbietu.

Pracował od czterdziestu godzin. Kolejne wersje równania przechodziły przez jego ręce jak fale: obliczenia, wydruk, analiza, niszczarka.

Cisza była absolutna, tylko wentylator komputera wydawał jednostajny, metaliczny szum. Aurélien zmienił kilka parametrów, pochylił się nad klawiaturą. Czekał. Zegar na ścianie tykał z precyzją metronomu.

Na ekranie pojawił się wykres – inny niż wszystkie wcześniejsze. Z początku nie dowierzał. Mrugnął, by sprawdzić, czy nie śni. Wydrukował i porównał go z równaniem zapisanym w pamięci. Idealne dopasowanie.

Zamarł. Po chwili poderwał się gwałtownie, kartki wypadły mu z rąk. Dłoń drżała, gdy sięgał po telefon.

– Mam to! – wyszeptał, jakby bał się, że głośniejszy dźwięk zniszczy cud.

Chwilę później już krzyczał:

– Mam to!

Rozdział pierwszy
Ostatni wykład

Lyon, 16 października 2000 r., piętnaście minut później

Pierre w pośpiechu wyciągnął z szafy pierwszą lepszą koszulę. Ręce mu drżały, guziki myliły się w palcach. Z każdym ruchem wydawał się coraz bardziej zagubiony. Był szczupły, nie wyglądał na swoje dwadzieścia pięć lat. Ciemne, lekko kręcone włosy sterczały we wszystkie strony.

– Co się stało, kochanie? – wymamrotała zaspanym głosem Emma, unosząc głowę z poduszki. Jej półprzymknięte oczy zdradzały, że wciąż była gdzieś między snem a jawą.

Naukowiec spojrzał na nią z mieszaniną czułości i żalu. Uwielbiał jej śniadą cerę, czarne włosy i duże zielone oczy, w których zawsze znajdował spokój. Chciał jej wszystko powiedzieć – o Aurélienie, o projekcie, który mógł odmienić światowy przemysł paliwowy, ale wiedział, że nie powinien. Nie dziś.

– Muszę wyjść wcześniej – rzucił tylko i pochylił się, by pocałować ją w policzek. – Śpij dalej.

Wybiegł z mieszkania, trzaskając drzwiami. Silnik zaryczał, a po chwili opony zapiszczały na mokrym asfalcie. Serce biło mu zbyt szybko – ekscytacja mieszała się z niepokojem, którego źródła nie potrafił określić. Przez moment wydawało mu się, że w oknie kamienicy naprzeciw mignęła jakaś twarz obserwująca go zza firanki, ale zignorował to. Pośpiech był silniejszy od ciekawości.

Deszcz, który spadł kilka godzin wcześniej, zostawił na ulicach połyskującą warstwę wilgoci, śliską i zdradliwą. Pierre uchylił szybę i odpalił papierosa. Rzadko robił to za kierownicą, ale teraz potrzebował czegokolwiek, co pozwoliłoby mu zapanować nad drżeniem dłoni.

Gdy zbliżał się do Mostu Uniwersyteckiego, zauważył w lusterku ciemny samochód jadący za nim bez świateł. Zmarszczył brwi. Wydawało się, że auto utrzymuje dokładnie ten sam dystans. Przez kilka minut nie mógł oderwać od niego wzroku, aż w końcu coś w nim pękło – przyspieszył. W tym samym momencie kątem oka dostrzegł ruch na przejściu dla pieszych. Była to kobieta z wózkiem.

Instynkt zadziałał za późno. Wcisnął hamulec z całej siły, ale przy prędkości ponad stu kilometrów na godzinę samochód wpadł w poślizg. Pisk opon, uderzenie. Wózek odleciał w powietrze jak lekki przedmiot z papieru. Pierre poczuł, jak świat traci kontury.

Zatrzymał się kilkanaście metrów dalej. Powietrze przeszył zapach spalonej gumy. Przez chwilę siedział nieruchomo, słysząc tylko dudnienie własnego serca.

Wysiadł. Kolana uginały się pod nim, nogi drżały. Z trudem łapał oddech. Widział roztrzaskany wózek. Chciał podejść, ale ogarnęło go przerażenie. Bał się spojrzeć na skutki własnego błędu.

Zanim zdążył zrobić krok, z ciemności wyrwała się kobieta. Krzycząc, rzuciła się na ziemię. Chwyciła niemowlę w ramiona i kołysała je, zawodząc. Pierre zrobił krok naprzód i wtedy zobaczył jej twarz.

Była zniekształcona, jakby z innego świata. Oczy miała mlecznobiałe, bez źrenic, a z ust wyrwał się przeraźliwy, nieludzki wrzask.

Pierre cofnął się instynktownie. Dopiero teraz zrozumiał – to nie była matka. Nie było też dziecka.

W jej ramionach tkwiła brudna, porwana lalka.

*

– Zgaś papierosa – rzekł spokojnie Aurélien Marsat, gdy jego asystent wszedł do pracowni. Znał go na tyle dobrze, by wyczuć, że to nie tylko rozmowa telefoniczna go poruszyła. Nie pytał jednak o szczegóły. Podał jedynie stos ostatnich wydruków.

Pierre trzymał kartki niepewnie, jakby miały zaraz wybuchnąć mu w dłoniach. Zgasił papierosa, nie trafiając w popielniczkę, po czym pochylił się nad wynikami. Oczy biegały po liczbach, równaniach i współczynnikach. Im dłużej patrzył, tym płyciej oddychał.

Podszedł do biurka. Rozłożył papier i chwycił ołówek. Kilka punktów, kreska, krzywa. Jeszcze raz. I jeszcze. Z każdym ruchem ręki czuł, jak w jego wnętrzu rosło coś między euforią a przerażeniem.

– To niemożliwe – wymamrotał, zerkając na wydruk, jakby chciał się upewnić, że to nie sen. – Nie mogłeś… – Zamarł. Krzywa idealnie przechodziła przez każdy punkt. – Zrobiłeś to… – wyszeptał, a potem krzyknął z całą mocą, aż echo odbiło się od ścian. – Kurwa, zrobiłeś to naprawdę! Rozpisałeś równanie odwróconej sinusoidy!

Aurélien nie drgnął. Spojrzał tylko na niego z tą samą lodowatą powagą.

– Tak – odparł cicho. – Wiesz, co się stanie, jeśli to opublikuję?

Pierre odsunął się o krok, wciąż trzymając wydruki, jakby były czymś świętym. Oczy miał szeroko otwarte, a na twarzy pojawił się grymas, w którym mieszały się zachwyt i strach.

– Dostaniesz Nobla – powiedział półgłosem, nie do końca wierząc własnym słowom.

Aurélien milczał chwilę, po czym uśmiechnął się blado.

– Albo kulkę w głowę.

*

Paryż, 4 listopada 2000 r.

Międzynarodowa konferencja klimatyczna *Éternel 2000* zamieniła dzielnicę La Défense w pulsujące centrum naukowego wrzenia. Wokół monumentalnych wieżowców – Grande Arche, Tour First i Areva Tower – kłębiły się tłumy. Setki naukowców z identyfikatorami na piersiach przemykały pośród szklanych fasad, ścierając się z morzem protestujących. Transparenty z hasłami „Zmiany klimatyczne to kłamstwo korporacji!" i „Nauka na smyczy koncernów!" tworzyły barwną, chaotyczną mozaikę.

Powietrze drżało od hałasu, klaksonów i syren, a zapach wilgotnego asfaltu po porannym deszczu mieszał się ze spalinami.

W jednej z sal konferencyjnych na wysokim piętrze Christian Coysevox, prezes laboratorium badawczego *L'innovation*, miotał się nerwowo jak zwierzę w klatce. Był masywnym mężczyzną o pewnym siebie spojrzeniu i oczach koloru stali – teraz błyszczących gniewem. Za panoramicznym oknem wrzał tłum, w którym ludzkie głosy zlewały się w jeden wściekły szum.

– Te oszołomy zaraz tu wejdą! – ryknął, uderzając pięścią w parapet. Echo jego głosu odbiło się od szyb. – Widzisz ich? Biegają w maskach gazowych! To przez takich idiotów nauka stoi w miejscu!

Pierre zacisnął palce na teczce pełnej notatek. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Patrzył tylko na szefa z mieszaniną pogardy i rezygnacji. Christian widział w nauce biznes. Pierre – sens życia. Dla niego liczby i równania miały w sobie poezję, której Coysevox nie potrafił dostrzec.

– Spokojnie, szefie – powiedział w końcu, starając się brzmieć rzeczowo. – Pokrzyczą, zmokną i pójdą do domu. Policja ich nie przepuści.

Christian odwrócił się gwałtownie.

– Aurélien się w ogóle pojawi? Za godzinę zaczynamy, a jego nie ma!

– Będzie – odparł Pierre, choć sam nie był tego pewien. Ostatnia rozmowa z Marsatem miała w sobie coś niepokojącego.

– Jeśli nie przyjedzie, zaczniesz bez niego – rzucił Christian, machając ręką, jakby to było oczywiste.

Pierre uniósł wzrok znad notatek.

– Ja? Szefie, ja znam tylko fragmenty równania. Całość ma tylko Aurélien! To jego odkrycie, jego moment!

– Za co ja ci płacę, do cholery? – warknął Christian, zbliżając twarz tak blisko, że Pierre poczuł zapach jego wody kolońskiej zmieszany z potem. – Myślałem, że jesteś naukowcem, a nie chłopcem na posyłki! To twoja szansa. Wykorzystaj ją albo szukaj pracy gdzie indziej.

Pierre poczuł, że gniew i strach ścierają się w nim jak dwa ostrza. Bez słowa odwrócił się i wyszedł na korytarz. Powietrze było ciężkie, przesiąknięte napięciem. Wśród rozmów w różnych językach i stukotu obcasów czuł się jak w obcym świecie. Od tygodni miał to samo wrażenie, że ktoś go obserwuje.

Drżącą ręką wyjął papierosa. Płomień zapalniczki na chwilę rozświetlił jego twarz. Zaciągnął się głęboko, gdy nagle zamarł.

Na schodach prowadzących na niższe piętro stała ona. Ta sama kobieta, której omal nie zabił trzy tygodnie wcześniej w Lyonie. Blada, o matowych, mlecznych oczach i zdeformowanej twarzy. Jej palec przeciął przestrzeń pod brodą w geście poderżnięcia.

Serce uderzyło raz, drugi i trzeci – każdy dźwięk brzmiał jak stuknięcie młota w stal. Chciał coś powiedzieć, ale gardło miał suche jak popiół. Kobieta wciąż patrzyła na niego swym martwym wzrokiem, aż w końcu zniknęła za rogiem korytarza jak cień cofnięty w mrok.

– Nie… – szepnął i ruszył w jej stronę, potykając się o własne nogi.

Wbiegł po schodach, potrącając zdziwionych uczestników konferencji. Kiedy dotarł na piętro, została po niej tylko

smuga – rąbek brudnej kurtki znikający za drzwiami awaryjnymi. Pierre pchnął je ramieniem i wybiegł na zewnątrz.

Uderzył go hałas i napór tłumu. Setki protestujących, transparenty, dym, megafony. Szukał jej wzrokiem – bez skutku.

– Gdzie jesteś? – powtarzał pod nosem, ocierając pot z czoła.

Ktoś z tłumu dostrzegł jego identyfikator.

– Pierre Bossuet! Zdrajca! – ryknął, zrywając z twarzy maskę i wskazując go palcem.

Tłum zawrzał.

– Sprzedawczyk koncernów!

– Morderca planety!

Ktoś chwycił go za marynarkę i szarpnął brutalnie. Pierre poczuł, jak jego ramię przeszywa ból, ale adrenalina kazała mu biec. Wyrwał się z tłumu i rzucił w stronę wejścia. Echo obelg goniło go jeszcze długo po tym, jak zamknęły się za nim szklane drzwi.

Na korytarzu czekał Christian. Twarz miał bladą jak papier.

– Posłuchaj – zaczął. Głos mu zadrżał. – Aurélien miał wypadek. Nie żyje.

Pierre poczuł, jak świat pod jego stopami pęka. To, co było dotąd krzykiem tłumu i wizją obłąkanej kobiety, zlało się w jedną falę. W oczach zrobiło mu się ciemno, a jedyne, co słyszał, to echo własnego oddechu – szybkie, urywane hausty, jakby ktoś go topił.

Aurélien – jego mentor, geniusz, przyjaciel – martwy? To nie mogło być prawdą. Wspomnienia ich wspólnej pracy

nad odwróconą sinusoidą, noce spędzone nad równaniami, wszystko to błysnęło mu przed oczami niczym film odtwarzany w przyspieszonym tempie.

– Jak… jak to możliwe? – wyszeptał drżącym głosem, chwytając się ściany, by nie upaść.

A w tle za oknem tłum nadal skandował, jakby świat nie zauważył, że właśnie runął.

*

Lyon, 24 listopada 2000 r.

Wysokie drzewa kołysane powiewami wiatru płakały żółtymi liśćmi, które rozsypywały się na chodnikach nowego cmentarza w Guillotière. Dzisiaj prócz nich ronił łzy tylko Pierre i trzymająca go mocno za rękę narzeczona. Nad jasną trumną zebrała się cała kapituła Akademii Lyońskiej, w której przed laty zasiadał profesor Aurélien Marsat. Przemawiał nawet sam Raymond Barre – naukowiec i mer Lyonu, który z właściwą sobie dyplomatyczną przesadą wypowiedział się o zmarłym, określając go mianem przyjaciela. Obecna była również telewizja i spora grupa dziennikarzy.

Paparazzi i obiektywy o długich ogniskowych dekoncentrowały Pierre'a i wzbudzały poczucie zagrożenia. Przezwyciężył jednak swoją słabość. Była to po części zasługa zażytych przed kilkoma godzinami leków psychotropowych. Wszedł na mównicę, wziął głęboki oddech i zaczął:

– Pamiętam, gdy w podstawówce narysowałem pierwszy w życiu wykres funkcji. Do dziś czuję tę samą dziecięcą

fascynację, radość z odkrywania porządku w czymś pozornie chaotycznym. Niestety wraz z nią przyszło niezrozumienie. Koledzy z ławki patrzyli na mnie jak na dziwaka. Już wtedy uzmysłowiłem sobie, że czasem trzeba wybrać: pasja albo akceptacja. Podobnie było z moim nauczycielem i mentorem. Z człowiekiem, którego dziś żegnamy. Aurélien Marsat często powtarzał, że samotność to cena, jaką płaci się za oddanie się nauce. Poświęcił wszystko – przyjaźnie, rodzinę, życie prywatne – w imię jednej idei. Pamiętam jego pierwszy wykład. My, młodzi studenci, z wypiekami na twarzy wymyślaliśmy najbardziej zawiłe równania, a on bez chwili namysłu rysował ich wykresy z pamięci. Robił to tylko dlatego, że o to prosiliśmy. Sam nigdy nie zabiegał o uznanie. Jeśli coś robił, to wyłącznie dla dobra nauki. Był człowiekiem cichym, skupionym, całkowicie oddanym swojej pracy. Często mówił, że życie jest zbyt krótkie, by zrobić w nim wszystko, co ważne, dlatego trzeba wybrać jedną rzecz i oddać jej się bez reszty. Dziś widzimy, jak bardzo miał rację. Nigdy nie zapomnę chwili, gdy po raz pierwszy wszedłem do jego gabinetu. Widziałem w jego oczach spokój i skupienie, a wokół – idealny porządek, niemal ascetyczną przestrzeń, w której każda rzecz miała swoje miejsce. Wtedy zrozumiałem, że to jest mój cel – pracować z nim, uczyć się od niego. Jest jednak coś, co nas wszystkich od niego odróżnia. My możemy być co najwyżej w czymś dobrzy. On był geniuszem. Kimś, kim żaden z nas nigdy nie będzie.

Pierre otarł łzy i zszedł z mównicy. Przytulił Emmę, czując, jak drży. Razem, w milczeniu patrzyli, jak jasna trumna w akom-

paniamencie orkiestry dętej powoli znika w czarnej otchłani. Wiatr roznosił żałobny marsz na wszystkie strony, niosąc ze sobą echo werbli i głuchy ton puzonów. Na sztandarach powiewały trójkolorowe flagi Francji i granatowo-czerwone z białym lwem pośrodku.

Po ceremonii Christian Coysevox odszukał Pierre'a wzrokiem i skinął, by odeszli na bok. Gdy byli już w pewnej odległości od żałobników, od razu przeszedł do rzeczy.

– Utopiłem w tym projekcie przeszło milion franków. Co z tego mam? – syknął. – Nie ma patentu, nie ma równania, nie ma nic. A ty... – Zbliżył się o krok. – Kreujesz się na wielkiego przyjaciela, a tak naprawdę gówno wiesz.

– Christian, proszę. Nie teraz. Uszanuj pamięć Auréliena.

– Uszanować? – prychnął Coysevox. – Wiesz co, Pierre? *L'innovation* to już nie jest miejsce dla ciebie.

– To znaczy, że odsuwasz mnie od projektu? – zapytał cicho.

Christian uśmiechnął się chłodno, prawie z ulgą.

– Nie odsuwam, ja cię po prostu wypierdalam!

Od autora

Dziękuję za przeczytanie drugiego, rozszerzonego wydania „Odwróconej sinusoidy". Kiedy pisałem tę powieść jedenaście lat temu, sądziłem, że opowiadam historię o tajemnicy, ryzyku i walce o prawdę.

Z czasem zrozumiałem jednak, że to zaledwie powierzchnia – że prawdziwym tematem powinien być człowiek: jego sumienie, wybory i to, jak łatwo można zagubić sens w świecie, w którym granice między nauką a moralnością nieustannie się przesuwają.

Dlatego wróciłem do tej historii.

Usunąłem z niej to, co zbędne i oczywiste. Odrzuciłem banał na rzecz ciszy, która potrafi powiedzieć więcej niż dialog. Przebudowałem narrację, by była bliżej emocji, a nie opisu. Chciałem, by czytelnik czuł świat bohaterów, a nie tylko go obserwował.

Rozwinąłem wątki, które wcześniej jedynie migotały w tle. Colette otrzymała wreszcie swoją własną opowieść – taką, która pozwala zrozumieć, skąd wzięła się jej fascynacja matematyką i jak pasja może stać się mostem między rozumem a uczuciem. Lilianne zyskała głębię, a nowa postać dziennikarza śledczego nadała fabule moralny wymiar – pytanie o granice prawdy, której wszyscy pragniemy, ale nie każdy potrafi ją unieść.

Niektóre postacie zniknęły. Inne stały się cichsze, ale ważniejsze. Zakończenie uległo całkowitej przemianie – jest

teraz dojrzalsze, bardziej prawdziwe i spójne z rytmem całej historii.

Nadałem tytuły rozdziałom, by każdy z nich był osobnym oddechem, małą częścią większej całości.

Książka jest dziś dwa razy dłuższa niż pierwotnie, ale mam nadzieję, że i dwa razy bardziej ludzka.

Pisząc ją na nowo, sam przeszedłem tę drogę jeszcze raz – od wiary w prostą sensację, do potrzeby zrozumienia, jak cienka bywa granica między dobrem a racją.

Spis treści

KSIĘGA PIERWSZA ZŁOTA SINUSOIDA 5
Prolog Narodziny odwróconej sinusoidy 6
Rozdział pierwszy Ostatni wykład 8
Rozdział drugi Dołeczki i wielomiany 18
Rozdział trzeci Głos w mroku 27
Rozdział czwarty Asymptota przeszłości 39
Rozdział piątyMarsat Junior 49
Rozdział szósty Matematyk, który odmówił światu 60
Rozdział siódmy Dziewczyna z równania 72
Rozdział ósmy Cień Colette 90
Rozdział dziewiąty Tam, gdzie kończy się wykres 114
Rozdział dziesiąty Pacjent bez diagnozy 121
Rozdział jedenasty W poszukiwaniu prawdy 135
Rozdział dwunasty Bandyta z przeszłości 146
Rozdział trzynasty Między szaleństwem a logiką 155
Rozdział czternasty Gambit z przeszłości 164
Rozdział piętnasty Stal i krew 175
Rozdział szesnasty Przekleństwo liczb pierwszych 184
Rozdział siedemnasty Równanie, które zabija 198
Rozdział osiemnasty Ostatni strzał 201
Epilog 218
KSIĘGA DRUGA WIĘCEJ NIŻ BÓG 223
Prolog Ucieczka 224
Rozdział pierwszy Granice stworzenia 228
Rozdział drugi Projekt Fenech 239
Rozdział trzeci Pakt z diabłem 251
Rozdział czwarty Złoty podział serca 261
Rozdział piąty Przerwana ceremonia 287
Rozdział szósty Lilianne 303
Rozdział siódmy Lustrzane odbicie 312
Rozdział ósmy Operacja Campus 2 324
Rozdział dziewiąty Cena milczenia 346
Epilog 359
Od autora 361